

Psucie klimatu

Konferencja klimatyczna w Poznaniu w grudniu 2008 (COP-14) została przez niektórych "odpuszczona" jako nieważna, ponieważ dopiero rok później, w Kopenhadze (COP-15) miały zapaść jakieś decyzje. Niesympatyczne wrażenie robiły plakaty rozwieszane w Poznaniu z hasłem *Countdown to Copenhagen* ("Odliczanie do Kopenhagi"), bo dawały do zrozumienia, że tu się nic nie wydarzy. Minęła konferencja w Kopenhadze, też nie wydarzyło się nic, czego oczekiwali działacze ekologiczni, i prasę obiegły komentarze o skandalicznym postępowaniu możliwych tego świata. Rzeczywiście postępowanie możliwe jest zawstydzające, ale większość komentarzy medialnych zdradza skrajną niekompetencję.

Tymczasem ochrona klimatu podlega dość specyficznym uwarunkowaniom (pisałem już o nich w "Aurze" czterokrotnie, między innymi w grudniu 2008 i styczniu 2009). Jeśli komuś zależy na ograniczeniu stężenia dwutlenku węgla w atmosferze, to powinien starać się o zmniejszenie globalnej emisji tego gazu, a nie o zmniejszenie emisji z krajów Aneksu I (około 30 najbardziej rozwiniętych gospodarek), które od jakiegoś czasu przestały decydować o światowej emisji. Natomiast wiele rządów – w tym Komisja Europejska – zdaje się nie zauważać tego prostego faktu i uparcie broni tzw. "Mandatu Berlińskiego", niefortunnego ustalenia z 1995 r., przewidującego, że tylko kraje Aneksu I będą przyjmowały ograniczenia emisji. W rezultacie kraje Aneksu I trochę ograniczają swoją emisję, natomiast emisja globalna rośnie w zastraszającym tempie, które zresztą jeszcze przyspieszyło po 1997 r. (tylko częściowo za sprawą emisji z Chin), po podpisaniu słynnego Protokołu z Kioto.

Na konferencji w Poznaniu wytykano palcami USA jako głównego winowajcę i wyrażano oczekiwanie, że jak tylko stery przejmie nowy prezydent, wszystko się zmieni. Dziwnie jakoś nie przyjmowano do wiadomości, że brak akceptacji dla "Mandatu Berlińskiego" i filozofii Protokołu z Kioto jest w USA efektem porozumienia ponadpartyjnego, więc nie zmieni się po wyborach prezydenckich. Jak swego czasu debatowano w amerykańskim Senacie nad tym Protokołem, pięciu senatorów było nieobecnych. Na 95 obecnych wszyscy głosowali przeciwko ratyfikacji. Przeciwnikiem ratyfikacji był również Al Gore, choć później o tym zapomniał.

Kiedy w 1997 r. uzgodniono ów słynny Protokół, komentatorzy powtarzali zazwyczaj, że jest to pierwszy krok, wprawdzie niewystarczający, ale we właściwym kierunku. Niewiele osób wskazywało, że jest to krok w niewłaściwym kierunku. Fiasko kolejnych konferencji klimatycznych unaocznia, że po zrobieniu tego niefortunnego kroku, następne są utrudnione. Albowiem "Mandat Berliński" przekreśla możliwość skutecznej ochrony klimatu, ale jest bardzo wygodny dla rządów i elektoratów w krajach słabiej rozwiniętych. Borykają się one z bieżącymi kłopotami, przy których szkody na skutek zniszczenia klimatu za kilkadziesiąt lat stanowią problem drugorzędny. Co się stanie za kilkadziesiąt lat, to już nie ich problem, natomiast póki co, nie muszą ograniczać emisji, a mogą zarobić na przejmowaniu produkcji, która staje się coraz bardziej utrudniona w krajach Aneksu I na skutek przyjętych ograniczeń.

Na konferencji w Kopenhadze wytykano palcami już nie tylko USA, ale również Chiny, jako największego światowego emitenta dwutlenku węgla. Potępienie USA wywołane jest stanowiskiem amerykańskim wobec filozofii Protokołu z Kioto, kontynuowanej w kolejnym porozumieniu (do którego nie doszło). Natomiast potępienie Chin wywołane jest perspektywą wzrostu emisji, który z kolei stanowi nieuchronny wynik "Mandatu Berlińskiego". Swoista schizofrenia! USA potępią się za sprzeciw wobec "Mandatu Berlińskiego", natomiast Chiny – za przywiązanie do niego.

Jednak z drugiej strony nie można negować faktu, że kraje z Aneksu I są zamożniejsze niż reszta świata i – co gorsza – to one w XIX i XX wieku spalały bez opamiętania paliwa kopalne, budując swoją przewagę gospodarczą nad innymi. A zatem to one powinny płacić rachunek za walkę ze zmianami klimatu. Czy da się pogodzić te dwie racje? Czy da się sprawić, żeby bogaci, u których emisja już nie ma silnych tendencji wzrostowych, zapłacili za powstrzymanie szybkiego wzrostu emisji u ubogich?

Wielu specjalistów od dawna twierdzi, że tak i nawet zarysowuje mechanizm, który mógłby to zapewnić. Jest on w istocie dosyć prosty. Obecna roczna emisja dwutlenku węgla na świecie wynosi około 32 mld t. Biorąc pod uwagę, że ludność świata wynosi około 7 mld, na osobę przypada około 4,5 t. Przypuśćmy, że każdemu krajowi przyznajemy pułap wynikający z liczby mieszkańców. Według tego scenariusza USA i Unia Europejska otrzymałyby znacznie mniej niż emitują obecnie, Chiny mniej więcej tyle samo, zaś niemal wszystkie kraje słabo rozwinięte gospodarczo – znacznie więcej. Przypuśćmy dalej, że owe pułapy są zbywalne. Kraje, które chciałyby wyemitować więcej niż im przyznano mogą zakupić brakujące pozwolenia od tych, którzy ich w pełni nie wykorzystali. W rezultacie nastąpiłby przepływ pieniędzy od bogatych do biednych, tak jak sobie tego życzy wiele osób. Natomiast stopniowo ograniczając sumę pułapów, można także ograniczać emisję globalną i starać się ratować klimat.

Część bogatych postuluje, by pułapy emisji przyznawać krajom nie proporcjonalnie do ludności, tylko proporcjonalnie do PKB. Argumentacja jest dość racjonalna. W końcu liczy się nie tylko liczba mieszkańców, ale i jakość życia, którą się im zapewnia. Sprawiłoby to, że kraje bogate otrzymałyby wyższe pułapy niż w zarysowanym scenariuszu, zaś kraje ubogie – niższe. W konsekwencji pierwsze zapłaciłyby drugim mniej za zakup potrzebnych pozwoleń. Niezależnie od tego, że wynik grzeszy przeciwko poczuciu sprawiedliwości społecznej, powyższa logika jest jawnie sprzeczna z postulatem "wspólnej lecz zróżnicowanej odpowiedzialności" za ratowanie klimatu (jednym z podstawowych postanowień konwencji klimatycznej). W końcu ten, kto ma wyższy PKB jest bardziej odpowiedzialny i nie powinien się od tej odpowiedzialności uchylać.

Jeszcze inni proponują, by proporcjonalnie do ludności przyznawać krajom pułapy nie bieżącej, ale skumulowanej emisji. Spowodowałoby to konieczność sięgnięcia do historii, która na nas ciąży. Kłopot tylko z ustaleniem odpowiedzialności – zwłaszcza w regionach, którym zmieniano przynależność polityczną. Jeśli historyczna emisja, która miałaby się Polsce odejmować od przyznanego pułapu spowodowana została przez mojego pradziadka, który ogrzewał mieszkanie, to ja za nią czuję się odpowiedzialny. Jeśli jednak spowodowana została przez Kajzera, który produkował broń chemiczną przeciw Francuzom, to mam wątpliwości. A nie dziwiłbym się Amerykanom, którym chcielibyśmy przyznany pułap pomniejszyć o emisję z lat 1940., gdyby argumentowali, że była to częściowo emisja potrzebna Europejczykom na wyzwolenie się spod Hitlera. Lepiej więc nie majstrować przy alokacji pułapów i uzależnić ją jak najprościej, od bieżącej liczby ludności, która jest stosunkowo łatwa do uzgodnienia.

Niezależnie od tego, jak ocenić realność porozumienia opisanego powyżej w zarysie, jedno jest pewne. Trzymanie się "Mandatu Berlińskiego" i próba skonstruowania powtórki Protokołu z Kioto są skazane na niepowodzenie. Będą tylko stanowiły okazję do tego, by obrzucać się oskarżeniami i psuć klimat dalej.